

A nighttime photograph of a Venetian canal. The water is dark and reflects the lights from the buildings and street lamps. Several gondolas are moored along the canal, some covered with blue tarps. The buildings are multi-story with arched windows and balconies. A small bridge crosses the canal in the middle ground. The sky is dark.

Wiktor  
Gomulicki

SZLAKIEM  
UMARŁYCH

**Wiktor Gomulicki**

**Szlakiem umarłych**



**Fundacja Festina Lente**

Nareszcie i nad Wenecją niebo się zmroczyło.

Stada chmur ciemnych napędził *scirocco*, od dwóch dni wiejący. Wzrusza on i gwarem napełnia morze; w kanałach i kanalikach wodę podnosi; barkom, żaglami oskrzydłonym, jaskółczą chyżość daje...

Na placu przed Bazyliką wystąpiły małe jeziora. Błyszcza z dala, na szarym marmurze, jak srebrna inkrustacja. Jedno zalało Loggię, najmisterniejszy z Sansovina klejnotów. Po innym brodzi gromada chłopców w czerwonych fezkach, puszczając na wodę papierowe gondole. Z trzeciego piją gołębie.

Deszcz mży. Smutno. Uwiązane do malowanych słupów statki tłuką metalowymi dziobami w granit wybrzeża i w marmur pałaców. Gondolierzy porozłazili się po *trattoriach* i *bottiglieriach*. Grają w zatłuszczone karty, piją z fajansowych kubków *vino nero*, gryzą, maczając w kubkach, surowe selery.

Wenecja zszarzała i zbrzydła. Teraz dopiero widać, jak jest głucha. Gdy nie ożywia jej paplanie gadatliwej ludności i stukot drewnianych sandałów, wydaje się grobem. Nie usłyszysz tu odgłosu kopyt końskich ani turkotu kół; nawet ćwierkanie wróbla uszu twych nie doleci. Czasem tylko wrzaśnie zawieszona gdzieś wysoko papuga lub zapiszczy

małpka, wysuwająca wężącą mordkę przez poplątane kratowanie okna...

Jak cicho! Jak ponuro! Z zaułków, dziwacznie pokręconych; z przesmyków, tak wąskich, że rozkrzyżowawszy ręce, obu przeciwległych murów dotykasz; z podcieni, mroku tajemniczości pełnych; z okien czarnych, w gotycko-mauretańską ramę ujętych; z ruder, deskami zabitych, a książęce herby na czole noszących; z całego chaosu rzeczy nieznanymi ci i strasznymi, kędy majaczą kudłate łby lwów, paszcze smoków, ziewy rekinów, pyski czortów – wszystko zmieszane z pulchnymi ciałami amorków figlarnych, nimf o nabrzmiąłych piersiach, wszetecznie zakrywających twarze a obnażających łona – wypełzła mgła smutku ciężkiego i na mózgu ołowiem się kładzie.

A tam w górze, wśród lasu wieżyc, kopuł cebulowatych, strzał żelaznych, ku chmurom wymierzonych, jęczy wciąż i modli się, szaleje i rozpacza żałobna muzyka dzwonów, oplakująca umarłych, urągająca żywym, wieszcząca smutek i zagładę tym nawet, którzy dopiero przyjść mają...

Przy *Fonte Stanti Apostoli* siadam do dużej barki, odpływającej na morze. Środek jej zajmuje długa, oszklona buda z ławkami wewnątrz, obitymi ceratą. Wyglądają stamtąd oliwkowe twarze, włosy rozczochrane, czerwone łachmany, sępie profile, oczy głęboko zapadłe, zęby żółte, poszczerbione, żółte...

Lepiej na pokładzie – mimo deszczu i wiatru. Ale i tu mam wprost siebie staruchę, trzęsącą się, siną, z ustami otwartymi, szczęką opadłą...

Łódź Charona!

Płyniemy kanałem pełnym śmiecia i odpadków różnych. Woda ma tony atramentowe.

Statek nasz potraça o zbite masy zielsk wodnych, rybich i ptasich wnętrzości, skorup rakowych, słomy, pierza, łuski,

papieru, obierzyn. Wszystko to rozkłada się i zgniłym, mdlącym wyziewem napęlnia powietrze.

Poczerniałe, chylące się ku sobie domy mroczą bardziej jeszcze ten przesmyk ponury.

Nagle jasność wielka uderza. Jasność i świeżość. Prześlizgnąwszy się pod arkadą mostu, wpływamy na morze...

Ile razy znajdę się na płaszczyźnie wodnej, tchu mi przybywa. Fale śpiewają mi pieśń znajomą, serce zgodnie jej wtórzy. Te dwie mroczne otchłanie rozumieją się i szukają. *Abyssus abyssum vocat.*

Dzisiejsze morze niepodobne do tego, jakie oglądałem dni temu kilka. Całe pobrużdżone, poryte, do niwy podobne, po której pług poszedł.

I barwę ma inną – ani seledynową, ani błękitną, ani oliwną. Barwę ma stali. Miejscami kładą się na nim rdzawe, brunatne, całkiem nawet czarne plamy. Wre przy tym jak wrzątek...

Rozglądam się dokoła. Panorama Wenecji rozciąga się długim, wąskim pasem – do wstęgi czerwono-żółtej podobna. Na prawo arsenał i doki. Na lewo pustynia wodna, pocentkowana tu i owdzie barkami. Barki wyglądają jak much czarnych stado. A ten oto chrabąszcz, to okręt. Przede mną cel mojej wycieczki – San Michele.

Celu tego rozmowny *barcaiulo* nie odgadł...

— *Signor* do Murano? – pyta, zwracając na mnie zmrużone oczy.

— Nie, do tej bliższej wysepki, gdzie opactwo...

— Po co! Zabawy tam żadnej nie ma. Żywej duszy *signor* nie znajdzie. Mnichy mruczą pacierze, drzewa szumią, morze gada – to wszystko.

— Jest tam coś jeszcze, o czym zapomniałeś...

— A tak: *cimitêro*...

Kapelusz zdjął i przeżegnał się:

— *Ecco!* – rzucił, wracając do zwykłego tonu. – Co za myśl jechać tam samemu i w czas taki! Żywym trzeba do żywych. W Murano jest na co patrzeć, dzięki Bogu. Same *vetrerie* cud cudów. A dziewczęta!...

Gadał jeszcze, a ja tymczasem śledziłem drogę, którą szła barka. Droga ta, to gościniec umarłych. Tędy wszyscy weneccjanie żwawi i wszystkie smętne weneccjanki płyną gondolami czarnymi – po śmierci.

Z morza tymczasem, na kształt olbrzymiej gałęzi koralu czerwonego, wyrasta wysepka. Mur ją opasuje wysoki, małymi wieżyczkami najeżony, nietynkowany, krwawy. Wygląda z dała jak reduta.

Zbliżamy się i barka płynie teraz wzdłuż owego muru, sponad którego wystają wierzchołki ciemnych cyprysów. Mur jest pełen szczerb, które morze wygryzło. Wyglądają jak rany otwarte.

W jednym miejscu, pod naporem fal, szaniec pękł od podstawy do szczytu. Przez szczelinę widać bielejące nagrobki. Nie wiem dlaczego, wyobrażam sobie, że tą szczeliną wymykają się umarli, gdy im przyjdzie ochota żywych odwiedzać...

Morze z głuchym pomrukiem o mur się rozbija.

Czyżby chciało skruszyć kajdany, które śmierć nałożyła? A może, samo pełne szumu i wrzenia, niecierpliwi się ciszą, jaka wysepkę zaległa?

*Barcaiuolo* i towarzysze jego gadają coraz prędzej i głośniej. I wiosła coraz szybciej obracają się w ich żylastych rękach. Pragnęliby jak najprędzej miejsce to wyminąć. Jeden zaczyna piosenkę jakąś, ale zaraz urywa – jakby mu ją wiatr z otwartych ust zdmuchnął...

Spostrzegam arkadę niską, czarną, ze świetlanym w głębi punktem. Fale ciekawie tam zaglądają, każda jednak szybko wszedłszy, szybciej jeszcze ucieka.

— Co to?

— Korytarz nędzarzy, *signore!*

— A ten punkt jasny w głębi?

— Furteczka cmentarna, *moussiou!*

Charon mój stara się przy tych słowach uśmiechnąć i dodaje:

— Te piękne wrota, które *signor* widział z tamtej strony, odmykają tylko panom. Biedak wkrada się tędy, jak złodziej...

Barka zatrzymuje się przy kamiennych schodach.

Wysiadam sam jeden. Szatańskie oczy, jastrzębie profile, bursztynowe twarze i łachmany o barwach papuzich, popłyną zaraz dalej, do zaczernionego dymem fabrycznym Murano...

*Barcaiuolo*, któremu płacę, podejrzliwie patrzy mi w oczy, do kieszeni zagląda. Upatruje zapewne lufy wąskiej, błyszczącego ostrza, flakonika... Głupi! Pochlebić mi chce myślą, że się śmierci nie ulęknę. Jam przecie nie uląkł się – życia!

Mijam szybko przedsionek, obwieszony wieńcami, których długie, czarne wstęgi żałobnie szumią; mijam dziedzińczyk klasztorny, z kolumnadą dokoła i rzeźbioną cysterną pośrodku; mijam wirydarzyk jakiś, pełen kwiatów i posągów – i staję u celu.

Tu leży... Wenecja!

Tu leży Wenecja wieku dziewiętnastego, Wenecja młoda, wątłe dziecię wspaniałych, krzepkich rodziców. Ich samych szukać trzeba gdzieindziej, po lochach kościelnych, pod marmurowymi płytami dzisiejszych *campi* i *capieli* – na dnie oceanu wreszcie...

San Michele jest grobem Wenecji dopiero od roku 1812. Przedtem, przez ciąg sześciu stuleci, mieli tu pustelnię swą

Kameduli. Obecnie, pozostały po Kamedułach klasztor służy Franciszkanom.

Ze wzgóрка, na którym stanąłem, obejmuję wzrokiem cały cmentarz. Jest on dużą, prawie nagą, płaszczyzną. Środkiem biegną dwie czarne linie cyprysów; w jednym miejscu zbita kępa drzew, murem obwiedzionych; po bokach trochę krzewów, kilka topoli, dwa czy trzy platany. Dokoła – morze.

Na nagrobki miejsca tu nie ma. Kupią się one na placyku przy klasztorze i ogródku małym, przy katakumbach. Tu, nawet mogiłek sypać nie wolno. Groby oznaczone są małymi tabliczkami z marmuru, w ziemię wetkniętymi. Z jednej ich strony nazwisko, z drugiej numer – i na tym kończy się wszystko. Z miejscem liczyć się tu trzeba skrupulatnie, więc też groby tak szczupłe, że trumna trumny dotyka. Często ludzie, którzy za życia stronili od siebie jak najdalej, po śmierci bokami do siebie przypierają...

— Bogacz i na to sobie poradził — mówił mi później pewien wenecki demokrat. — Zakupuje dla siebie, dwa albo trzy „numery” i rozwała się w swej trumnie jak w karecie...

Białe kamyki, niby sznury pereł, wyciągają się długimi szeregami. Cmentarz zdaje się poliniowany w różnych kierunkach białą farbą na tle ciemnozielonym. Gdzieniegdzie żywi zatknęli umarłemu lekki, drucziany krzyżyk, powiesili na nim paciorkowy wianuszek, uczepili latarenkę maleńką, w której drży płomyk naftowej lampki, jedyny ślad życia, z jakim się tu spotykam. W kilku miejscach widać uplecione z drutu namiociki, kosze, urny. Pną się po nich powoje i groszki wonne, czyniąc z nagrobka jakąś rzecz wesołą, ogrodowi właściwszą niż cmentarzowi. Znalazłem w jednym miejscu nagrobek taki, w kształcie kolebki, wykwieconej różami mchowymi, żonkilami, tacetami. Straszna kolebka!...



Ale z dała, obojętnemu zwłaszcza oku, cmentarz przedstawia się wesoło. Posiany jest błyszczącymi kulkami szklanymi różnych kolorów. A że i kwiatów nie brak, a wianki nagrobne wyrabiane są z paciorków nie tylko czarnych, lecz także niebieskich, białych i różowych – barwy jasne i pogodne przeważają. Ale tyle też tu tylko jasności i pogody!

Pomiędzy grobami błędzę samotny. Deszcz mnie smaga i wicher, a cyprysy osypują perłami rosy. Co krok zagradzają mi drogę krzaki róż, bujnym kwiatem okryte. Nie wiem, czy o wiośnie śpiewają im rozkochane słowiki, teraz jednak ani jednego ptaka nie widać ani nie słychać. Jedynym głosem – stłumiony ryk morza, które żali się, dąsa i krzyczy: „Puśćcie mnie! Puśćcie!...”

Umarli weneccy oddani są ziemi, niebu i morzu. Żywi nie często do nich zagląдают. Płynąć barką tak daleko — rzecz kłopotliwa; siedzieć zaś beczynn timer i mlec językiem na miejscu – rzecz Włochom najmilsza. Zresztą, dziś lub jutro, zawiozą ich tam inni...

Zachodzę na sam koniec cmentarza, gorzką rozkosz w tym obcowaniu z nieboszczykami znajdując. Tak wiele mamy sobie do powiedzenia — ust nie otwierając! Mniej oni dla mnie obcy niż czereda obieżyświatów, włócząca się po weneckich placach, galeriach, muzeach, zachwycająca się tym tylko, czym „Guide” zachwycać się każe; otwierająca usta przed spospolitowaną bazyliką św. Marka, a zamykająca je przed odrapanym, ale najpiękniejszym z rzeczy weneckich – zaułkiem.

Tu dopiero czuję się bezpiecznym, tu pełną oddycham pierśią. Nie wejdzie mi tu w drogę para nowożeńców, trzymająca się za ręce, zatapiająca oczy w oczach, nie widząca w Wenecji nic cenniejszego nad miłość swoją, nic piękniejszego nad dwojga serc harmonię. Nie usłyszę tu śmiechu dzieci, który na kształt słonecznego promienia

rozwidnia mrok starego grodu, ożywia zdrzemnięte w śnie wiekowym mury, wlewa do serc wierzących otuchę i mówić się zdaje zwątpionym: „Nie wszystko jeszcze stracone”...

I tu są kobiety młode, kochające i kochane, ze spojrzeniem pełnym czułości, z sercem do poświęceń gotowym; i tu są dzieci, od aniołów tycjanowskiej *Assunty* piękniejsze i od wszystkich ponęt życia miłsze. Jedne i drugie śpią cicho, z rękami na piersiach skrzyżowanymi – jak moje; i ku niebu twarze nieruchome obróciły – jak moje; i nigdy się już nie przebudzą – jak moje...

Zadzwoniono. Na wysokiej dzwonnicy opactwa zakołysał się dzwon jeden, potem drugi i trzeci. Spiżowa melodia spłynęła z wysoka, rozlała się po płaszczyźnie cmentarnej, ześlizgnęła na morze, które poniosło ją daleko, daleko...

Chodźmy do kościoła. „Grób i ołtarz bliskie są siebie” – zauważył Musset.

Świątynia z piętnastego wieku, niewielka, ale jak wszystkie kościoły i kościołki włoskie rzeźb cennych i obrazów pełna. Okna przyćmione kolorowymi szybami, filary czerwonym sukniem obciążone, płótna o kolorycie zadymionym, powała z dębu rzeźbiona i wyłaczana. Na gzymsach doniczki z kwiatami; w konfesjonałach zielone zasłony, posadzka w kwadraty czerwone i żółte.

Barwy zawsze; barwy wszędzie...

Na ołtarzu palą się świece, ale księdza nie widać. Na próżno wodzę okiem po stallach, na próżno zapuszczam je w głębie ciemnych kapliczek, na próżno rozglądam się po gankach wysokich – nigdzie żywego człowieka.

Nagle, gdzieś w górze, zamruczało stado niedźwiedzi. Zamruczało i zamilkło. W przeciwnej stronie kościoła odpowiedział głos jeden – nosowy, brzęczący. Odpowiedział i ścichnął. Przez kilka chwil głucho. Ale niebawem z różnych

kryjówek poczynają wylatywać krótkie urywane pomruki i jak bąki huczą po kościele... Rzekłbyś, że to nawołują się z dziupli swoich puchacze.

Nawa świątyni rozbrzmiewa melodią ponurą i straszną. Rozróżniasz w niej jęki, błagania, przekleństwa, skargi. Rozróżniasz słowa łacińskie, a uwierzyć ci trudno, że to mruczą – ludzie...

Wtem zagrał niewidzialny organ. Zagrał wesołą, skoczną, operową aryjkę. Puchacze zamilkły, jakby zdziwione tym wybrykiem niewczesnym.

Zaledwie organ przystanął, aby tchu nabrać, mruczenie z podwójną wybuchą zajadłością... I rozpoczyna się sprzeczka ludzi z muzyką.

Przedrzeźniają się sobie wzajem głosy ze świata i głosy z klasztoru. Tym ostatnim przybywają posiłki: bas głęboki – może samego przeora; falset chrypliwy – piwnicznego pewnie braciszka; baryton bezdźwięczny, syczący, czkawką przerywany – niezawodnie zgrzybiałego opata, którego na chór z krzesłem wnosić musiano.

Klasztor zwyciężył. Pusta, Figarowa aryjka, zdławiona mručeniami, które do siły grzmotów urosło, blednie, rozplywa się, zamiera. Niewidzialne gardła raz jeszcze zwycięskim chórem wybuchły – milkną.

Kościół zapadł w poprzednią ciszę. Słyszeć tylko szturmowanie wichru do zalewanych ołowiem szybek i wiekuisty płacz morza, rozbijającego się o granity...

Dziwny kościół! Osobliwe nabożeństwo!

Wychodzę do kruchty z duszą sprzecznymi wrażeniami skłóconą. Daleko mi do harmonii, jaką daje modlitwa, najwyższa „ataraksja” ducha, mistyczne roztopienie się w bezmiarze, któremu na imię – Bóg.

W kruchcie bieleją marmurowe ciała świętych, zielenią się doniczki z kwitnącymi roślinami, czernieje skrzynia

żałobna, do karawanu żydowskiego podobna i napisami okryta.

Na jednym boku skrzyni czytam:

*Breves dies homini sunt. Numerus ejus apud Te est.*

Na drugim:

*Constituisti terminus ejus, qui praeferiri non poterunt...*

Pośrodku napisów: kościotrup z kosą i klepsydrą, szczerzący zęby w szyderskim uśmiechu...

Do czego skrzynia ta służy? Może nakrywają nią trumny, gondolami wiezione?

Zbyteczne to.. Gondola wenecka już sama przez się jest karawanem.

Odwracam oczy i spostrzegam w jednej z wnek uśmiechającą się do mnie lubieżnie Venus. Łukowate linie jej ramion, piersi i łona spływają w całość niewymownie ponętą a zmysłową. Kibić przegięła jakby w tańcu bachicznym, nogę jedną uniosła, ręce splotła. Wspaniała jest, poezją ciała owiana, do uciech ziemskich ciągnąca. Byłażby to *Venus libitina*? Ale i ta skądże by tutaj?

Zbliżam się i spostrzegam u stóp posągu czaszkę trupa. Nie Venus to, lecz Magdalena...

O dwuznaczność taką we Włoszech nie trudno. Chrystusy są tu nierzadko Apollinami; Madonna z Dianą bliźniaczo bywają podobne; cheruba od amorka rozróżnić prawie nie można.

Zmierzcha się. Kruchtę i kościół cały napęlniają cienie. Wychodzą one z framug wszystkich, zlatują ze sklepienia, spływają z ołtarzy. Zdaje mi się, że mają kształty ludzkie, że ręce rozpacznie załamują, że skrzydłami białymi wiewają, że pokazują niebo i za sobą iść każą...

Staję w miejscu, czarem dziwnym spętany. Zapominam, gdzie jestem i po co przyszedłem...

— *Moussiou, moussiou! Barca pronta!*

To *barcaiuolo* mój, powracający z Murano, przywołuje mnie do rzeczywistości, wsuwając przez odemkniętą furkę odkrytą głowę i twarz wylękłą...

Wychodzę, powtarzając huczące wciąż w mózgu słowa:

— *Breves dies homini sunt...*

A morze odpowiada głosem wielkim:

— *Deo gratia...*

Wiktor Gomulicki  
*Szlakiem umarłych*

Redakcja: *Anna Oldak*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-290-6, Festina 2014

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)